

A.R.

„OPOWIEŚCI MOJEJ BABCI”

Każdy z nas pewnie kiedyś się zastanawiał na tym, skąd pochodzą jego przodkowie, jakie są korzenie jego rodziny? Ja zaczęłam sobie zadawać takie pytania, gdy z lekcji historii dowiedziałam się, że miejscowość, w której mieszkam, kiedyś należała do Niemiec i dopiero po II wojnie światowej zaczęli tutaj mieszkać Polacy, kiedy zrozumiałam, że wszyscy mieszkańcy naszych okolic są przybyszami z innych stron. Zaczęłam wtedy z większym zainteresowaniem słuchać opowieści mojej babci o czasach jej dzieciństwa, zadawałam pytania i w ten sposób sporo się dowiedziałam o okolicznościach związanych z przybyciem mojej rodziny na Dolny Śląsk.

Moja babcia pochodzi z miejscowości Nowa Huta, która leży obecnie na terenie Ukrainy, w obwodzie tarnopolskim. Gdy opuszczała wraz z rodzicami i sąsiadami rodzinną wieś w październiku lub listopadzie 1945 roku, miała zaledwie 4 lata, jednak przeżycia związane z tamtymi wydarzeniami były tak mocne, że utkwiły w jej pamięci na całe życie. Myślę też, że tak dobrze je pamięta, bo słyszała o nich wielokrotnie, słuchając wspomnień swojej mamy i sąsiadów.

Babcia opowiadała, że w Nowej Hucie mieszkali bardzo blisko lasu i w nim szukali schronienia, gdy było bardzo niebezpiecznie. W dzień zawsze można było coś zrobić w domu i gospodarstwie, lecz w nocy trzeba było się ukrywać przed ukraińskimi bandami UPA, które napadały na rodziny Polaków.

Pewnej nocy, moja prababcia Maria zabrała babcie na strych, by pokazać jej, jak pali się sąsiednia wieś - Stara Huta. Od tamtego dnia, gdy nadchodziła noc, prababcia zawijała swoją córkę w ciepły koc i w każdą noc uciekała na pola kukurydzy, by tam się ukryć.

Babcia zapamiętała też, że któregoś dnia z sąsiedniej miejscowości przybiegł do nich zakrwawiony mężczyzna w koszuli nocnej. Opowiadał, szlochając, że do jego domu wtargnęła ukraińska banda, on ukrył się pod łóżkiem, a napastnicy zabili mu żonę i dwoje dzieci, którym wbito widły w brzuch.

W ich wsi było bardzo niebezpiecznie, wiedzieli, że muszą stamtąd uciekać, aby ratować życie. Chociaż trudno im było zostawić dom, gospodarstwo i zgromadzony przez całe życie dobytek, podjęli decyzję o wyjeździe w nieznane, wiedząc tylko, że będzie to w Polsce.

Moja prababcia żegnając się z rodzinną miejscowością, przed odjazdem całowała drzwi kościoła oraz krzyż. Babcia zapamiętała również, że gdy pradziadek Rudolf wiozł ich na stację kolejową, za wozem bardzo długo biegły ich dwa psy. Nie mogli ich zabrać ze sobą, bo do wagonów towarowych, którymi mieli odjechać, można było wziąć ograniczoną ilość rzeczy i bydła. Oni zabrali tylko konia i krowę, która w czasie długiej podróży wygryzła z głodu dziurę w wagonie.

Kiedy pociąg zatrzymywał się, bo nie było czym palić w lokomotywie, mężczyźni od razu szli znaleźć trochę drzewa, żeby znów mógł ruszyć i jechali dalej. Gdy przekroczyli wschodnią granicę Polski, z powodu chłodu panującego na dworze i trudów wyczerpującej podróży zmarł sędziwy ksiądz Pawski. Było to dla wszystkich bardzo smutne wydarzenie, księdza pochowano w Przemyślu i po pogrzebie pociąg z pozostałymi ludźmi ruszył w dalszą drogę.

Kiedy zatrzymali się na postój, moja prababcia zobaczyła domy, więc poszła prosić ludzi o wiązkę siana dla bydła. Ludzie też żyli tam bardzo ubogo, ale pomogli. Gdy krowa zobaczyła siano, tak łapczywie je pożerała, że omal się nie zadławiła, bo taka była głodna.

Wagon, którym jechali miał naderwany dach, a osoby będące w środku bały się, aby na nich nie runął. W czasie podróży modlili się, śpiewali różne pieśni do Matki Boskiej i myślały, że wymodlili zmianę swojego losu na lepszy.

Moja babcia wspomina te straszliwe chwile ze łzami w oczach, mimo iż była małym dzieckiem, to pamięta bardzo dużo faktów z tamtych czasów. Utkwiło jej również w pamięci to, że jej mama przed opuszczeniem wsi suszyła chleb, przygotowując się w ten sposób do wyjazdu. Właśnie te suchary jedli w drodze, popijając herbatą lub mlekiem. Prababcia ten suchy chleb rozdawała także innym towarzyszom tułaczki, bo jechali na Ziemię Odzyskane ponad trzy tygodnie, a może nawet miesiąc.

Wysadzono ich w Złotoryi i przewieziono wielkimi ciężarówkami do Radziechowa. Moja prababcia obeszła całą wieś, szukając miejsca dla rodziny. Trafiała na dom, w którym jeszcze mieszkali Niemcy. Okna były pozastłaniane czerwonymi zasłonami i na jednym z nich widniał napis „Tyfus!”. Poszła więc dalej, kontynuując poszukiwania i spodobał się jej inny malutki domek. Zapukała do drzwi i wtedy okazało się, że mieszkał w nim rosyjski żołnierz, z którym odbyła taką rozmowę:

- Co tu chciała? – zapytał, stając w progu.

- Szukam miejsca dla rodziny, bo nie ma już wolnych domów we wsi. Na tamtym budynku, chyba w nim mieszkają Niemcy, jest napisane na oknie: „Tyfus!”- odpowiedziała prababcia.

Gdy to usłyszał, wziął karabin na plecy i poszedł do tego domu. Zaczął stukać karabinem w drzwi i krzyczał:

- Jaki tu tyfus panuje?! Przecież to nieprawda! To Polacy, macie ich przyjąć!

W taki sposób moja rodzina znalazła dach nad głową. Babcia pamięta, że kobieta, która tam mieszkała, miała na imię Lisa. Pierwsze święta Bożego Narodzenia były bardzo ubogie. Pradziadek Rudolf zdobył ziarno na chleb w sposób taki, że ukradł snopki pszenicy pozostawione na polu przez Niemców. Kiedy moja prababcia upiekła chleb, podzieliła się z Niemcami, bo oni również go nie mieli.

W 1947 roku urodziła się druga córka mojej prababci - Aniela. W 1948 roku moja babcia zaczęła uczęszczać do Szkoły Podstawowej w Radziechowie. Chodziły do niej dzieci z sąsiednich wsi, między innymi z Jadwisina i Modlikowic.

Opowiada, że w szkole zawsze było bardzo wesoło, organizowano różne zabawy i występy. Jedynym nauczycielem, który wtedy uczył wszystkie dzieci, był pan Puciato. Po pewnym czasie dojechała nowa nauczycielka, która została jego żoną. Dopiero w kolejnych latach grono pedagogiczne zaczęło się powiększać.

Dzieci nie miały wtedy kredek, więc zrywały różnokolorowe nasionka z drzew i nimi malowały na papierze. Pewnego dnia postanowiły, że się wybiorą do Chojnowa po kredki, na które od dawna składały pieniądze. Idąc wspólnie w słoneczny dzień na zakupy, bardzo się cieszyły. Gdy dotarły do sklepu, przeżyły wielkie rozczarowanie, bo okazało się, że i tak zabrakło im kilka złotych na zakup tych wymarzonych kredek.

Moja babcia mieszka w Radziechowie już 73 lata. Myślę, że lata jej dzieciństwa przypadły na bardzo ciężkie chwile dla ludzkości, dlatego bardzo się cieszę, że mnie takie przerażające przeżycia nie spotkały i mam nadzieję, że nigdy nie spotkają.



Prababcia Maria (z domu Padewska) ze swoją mamą i bratem. Zdjęcie zrobione przed wojną na Kresach Wschodnich.



Pradziadkowie Maria i Rudolf Wozowczyk z córkami: Janiną i Anielą – Radziechów 1948 rok